

Śmiać się czy łkać

TEATR | „Pan Jowialski” Aleksandra Fredry: między żenadą a dobrą zabawą

• PRO

Jan Bończa-Szabłowski Ucieszny moralitet



Inscenizacja w Teatrze Polonia to dwie godziny oczyszczającej rozrywki. Do tego kilka świetnych ról aktorskich, a przede wszystkim zabawa w teatr, w której chętnie biorą udział zarówno aktorzy, jak i widzowie. Na to przedstawienie z pewnością będzie się chodziło. „Jowialski” Aleksandra Fredry należy do sztuk rzadziej grywanych, a nawet zapomnianych. Debiutująca na scenie warszawskiej legenda Starego Teatru Anna Polony tchnęła w utwór nowego ducha. Zrealizowała przedstawienie ucieszne, które publiczność premierowa przerywała salwami śmiechu. Piękny język Fredry okazał znów swój dowcip, a obserwacje hrabiego dotyczące naszych wad, relacji damsko-męskich czy ambicji ponad miarę – aktualność. Pierwsze skrzypce w tym spektaklu grają Szambelanie. Szambelanowa w ujęciu Krystyny Jandy jest aktorskim majstersztykiem. Janda parodiuje samą siebie, a właściwie nasze wyobrażenie na jej temat. Jest świadomie nadekspresyjna, manieryczna. Nigdy jednak nie przekracza granicy dobrego smaku. Wchodzi na scenę zawsze rozdygotana. Mówi z lekko kre-sowym akcentem, nawet

wtedy, gdy używa francuskich zwrotów, zgodnie z wolą Fredry zabawnie je przekręcając. Szambelan w wykonaniu Wojciecha Malajka jest jej przeciwieństwem. Aktor z niebywałą konsekwencją zaprezentował postać człowieka wyciszzonego, żyjącego własnym rytmem. Uroczego fajtąpę świadomego, że funkcjonowanie przy boku takiej torpedy jak małżonka wymaga zachowania dystansu. A potrafiącego przy tym robić swoje. Anna Polony jako reżyser spektaklu pozostała wierna woli autora, ustawiła graną przez siebie postać Jowialskiej w cieniu, oddając pole scenicznemu małżonkowi – Marianowi Opani. A on już sypał przysłowiami jak z rękawa... „Pan Jowialski” w Teatrze Polonia stworzył dobrą okazję, by przy aktorskich sławach pojawili się młodzi. Z dużą nadzieją można mówić zwłaszcza o Grzegorz Daukszewiczu grającym Ludmira. Spektakl okazał się zabawnym moralitetem na temat cnót i otomności natury ludzkiej. Sensem, który daje wytchnienie. Wytworzył wspólnotę śmiechu, do której tak bardzo tęsknimy. Warto to sprawdzić osobiście, bo jak mówi przysłowie, „Kto czego nie doznał, ten nie zrozumie”. ■

• KONTRA

Jacek Cieślak Gwałtu, co się dzieje!



Z najnowszej premiery Teatru Polonia wyszedłem zażenowany. Bo lubię Fredrę. Cenię autora „Pana Jowialskiego” za teatralną magię, humor, wspaniałe charaktery. Za to, że pięknie bawił się polszczyzną i miał do wszystkiego galicyjski dystans. Oczywiście na Fredrę w Polsce się narzeka. Jak na wszystko. Że przestarzały, konwencjonalny. Ale tylko wtedy, gdy wystawia się go nieudolnie. Im więksi artyści – tym lepiej widać, że Fredro jest teatralnym mistrzem. Pamiętam spektakle Andrzeja Łapickiego, „Pana Jowialskiego” Tadeusza Bradeckiego. To, że „Dożywocie” i „Śluby panieńskie” dają szansę na wspaniały, żywy teatr, pokazal Jan Engler w Narodowym. Spragniony jak kania dżdżu czekałem premiery „Pana Jowialskiego” w reżyserii Anny Polony i Józefa Opalskiego. Współpracownicy Konrada Swinarskiego (!) stworzyli spektakl kuriozum. Miałem wrażenie, że chcieli pokazać, jak Fredry reżyserować nie należy. Anna Polony zagrywała się na śmierć, robiąc z pani Jowialskiej zidiociałą staruszkę w czepcu i okularach. Marian Opania pokazał pana Jowialskiego jako bezzębnego,

sepleniącego staruszka. Oboje się ośmieszali, grając starsze małżeństwo pod wpływem alkoholu. Zafaczał się, niemal turlił po scenie. Śmiechu miało być co niemiara. A wypadło rzewnie zapłakać nad niezrozumiałym zachowaniem artystów, którzy przecież nie musieli rozmnieniać na drobne swojego wielkiego dorobku. Kiedy oglądałem Aleksandrę Grzelak w roli Heleny, zrozumiałem, skąd się wzięło w Polsce tyle feministek. Sam chciałem zostać feministką, gdy widziałem biedną uciśnioną konwenansem dziewczynę, która dłońmi chroni przyrodzenie, jakby wylądowała w dark roomie pośród zezwierzęciałych samców. Tymczasem naprzeciw był niegroźny Grzegorz Daukszewicz w roli Ludmira. Uśmiech wracał mi na usta, gdy pojawiał się znakomity Wojciech Malajka. Dopieścił w każdym szczególe rolę Szambelana, zwariowanego ornitologa z fre-drowskich czasów. Zastanowiła mnie Krystyna Janda. Zagrała Szambelanową, wdowę po jenerale-majorze Tuzie – serio. Rozumiem. Ale jak mogła pozwolić, by z teatralnej peretki powstała sztuczka grana pod publiczność? Przecież znowu wszystko będzie na Fredrę. ■